Rozmaitości

Dnia 29. Lutego Ner. 9. Roku 1840.

## OBRAZ
## OBYCZAJÓW TATARSKICH.

*Jeden z dzienników rossyjskich zawiera następujący wypadek, który pod względem obyczajów i praw Tatarów w pobliżu Chin osiadłych, na uwagę zasługuje.*

Na południowo-wschodniej stronie wielkiego chińskiego muru, w rozległych obszarach Tartaryi, gdzie żółta rzeka swój początek bierze, żyje waleczny, rękodzielnictwem zajmujący się, w porządek ustaw ujęty naród. Chan panujący nad plemieniem Harakalpakenów, nad najdzielniejszą częścią owego ludu, którego krainę z jednéj strony góry Belurk-tagu, a po drugiéj stepy Izymu zamykają, zowie się Segeb-Mohelem; objął on rządy po śmierci swego ojca 1832 roku.

W kilka miesięcy po objęciu panowania nad ludem, wyjechał młody Chan na łowy, gdzie oddaliwszy się od swoich towarzyszy, i zbłąkawszy w stepach, widział się być zmuszonym wejść do jednéj nieznanéj mu chaty, którą śród burzanu ujrzał. Tam wszedłszy zażądał, aby mu dano napić się zdrojowéj wody. Gospodarz domu poznawszy Chana, władcę swojego, rzucił się przed nim na ziemię, i rozkazał swojéj najstarszéj córce Naharynie, będącéj w kwiecie młodości, jaśniejącéj pięknością i uroczym wdziękiem, aby Chana żądaniu usłużyła. Segeb-Mohelem, zdjąwszy z jéj twarzy zasłonę, zdziwił się jéj rzadką urodą, zachwycił słodkim blaskiem jéj oczu i wstydliwym rumieńcem, który jak najświeższy szkarłat na jéj licach zakwitł. Po niejakiéj chwili, zdjął z swojego palca bijący promieniami pierścień, i dawszy go w upominku matce młodéj dziewczyny, rozkazał jéj, aby nazajutrz udała się do Hasnadara (ministra), który ją o dalszych zamiarach jego uwiadomi.

Na drugi dzień zrana, matka pięknéj Naharyny, stosownie do rozkazu swojego władcy, wybrała się w drogę dla dowiedzenia się, co jéj Hasnadar oświadczy; a ten oznajmił jéj: iż o kilka mil od rezydencyjonalnego miasta Izym, dał Chan w podarunku dla Naharyny i rodzeństwa jéj, rozległą przestrzeń gruntu wraz z pięknym domem; prócz tego wręczył jéj tenże minister imieniem swego pana kiesę z cekinami, i wyznaczył pięciu niewolników do posługi.

Chociaż rodzina Naharyny z nizkiego ubóstwa na stopień dobrego bytu nagle wyniesioną została, nie umiała przecież w skromnéj zaciszy używać swego szczęścia. Owszém starała się wywiérać najszkodliwszy wpływ na umysł Chana, i z zarozumiałości chełpiła się łaską, którą władca Naharynę zaszczycał; wymagała od Roskinów (szlachty tatarskiéj) czołobitności; a rozrzutnością, przepychem, którym umyślnie drugich zaćmić usiłowała, nakoniec dumą i butną mową, ściągnęła na siebie wszystkich nienawiść.

Nienawiść ta, którę rodzina Naharyny powszechnie na siebie ściągnęła, wydała wkrótce najsmutniejsze owoce.

Jednego poranku, gdy Chan podług swego zwyczaju jechał do pomieszkania Naharyny, dwaj jeźdcy z przybocznéj straży, których zwykle z uwiadomieniem o swojém

przybyciu naprzód posełał, gonili na wyścig ku niemu, i rzekli: »Nie jedź daléj panie, jeżeli nie chcesz być świadkiem okropnego widoku! Dóm Naharyny stał się pastwą płomieni, niewolników jéj pozabijano, konie i trzodę porznięto, i ona sama już nie żyje.«

»Jako? Naharyna nie żyje!« odrzekł Chan wstrząsłszy się i gniewem spłonąwszy, »i któżto się odważył utopić sztylet w jéj piersi?«

I nie czekając odpowiedzi swych jeźdźców, ubódł tak silnie konia ostrémi strzemiony, że ten w górę się spiąwszy, cisnął się naprzód, i jakby wichr poniósł go ku mieszkaniu Naharyny.

Smutną wiadomość zastał aż nadto potwierdzoną! Z przepysznego pomieszkania, ujrzał same tylko dymiące się zwaliska. W izbach i stajniach obróconych w perzynę, śród gorącego jeszcze popiołu, stała kałużą krew z pozabijanych niewolników i koni! Segeb zeskoczywszy z swego rumaka, wpadł pomiędzy rozwaliny, i patrzył z trwogą i zgrozą ukochanego przedmiotu. Znalazł tam od dymu zczerniałe i sromotnie skaléczone ciało Naharyny! Przekonał się, iż nieszczęśliwa starała się ujść okropnéj śmierci z pośród płomieni, ale w chwili, gdy przez próg palącego się domu przestąpić chciała, potężne cięcie jataganem odjęło jéj od tułowu głowę!

Segeb-Mohelem postanowił okropną zemstą ukarać tę zgrozę. Jeszcze tego samego dnia rozkazał zebrać się narodowemu sądowi (*amred-faryz*), aby winowajców wyśledził i natychmiast najsurowiéj ukarał. Stało się zadość jego rozkazowi; już dnia drugiego po zamordowaniu nieszczęśliwéj Naharyny, zgromadzili się sędziowie na rozległéj płaszczyźnie Nopalu.

Sąd ten składał się z dwudziestu starców, którzy z sprawiedliwości równie jak z bystrego rozumu i doświadczenia w całym kraju zaszczytnie byli znani, gdyż obiérano ich z koła mężów najzaczniejszych i nieposzlakowanego charakteru.

Hasnadar Segeb-Mohelema rozesłał tymczasem na wszystkie strony swoich ludzi, dla wywiedzenia się o sprawcach zbrodni, i nie długo trwało, a już pojmano trzech braci szlachetnego rodu, jako mocno o nadmienione zabójstwo podejrzanych. Uwięziono także dziesięcio-letnią dziewczynę, córkę najstarszego z tych braci.

Przewodniczący sądowi (*Czah-Fetyz*), wyłożył przed sędziami wszystkie powody podejrzenia i wyjaśnił okoliczności, które przeciw obwinionym świadczyły, poczém zaraz rozpoczęto z nimi badanie.

Wszyscy trzéj bracia wypiérali się uporczywie, że w zbrodni, o którą ich obwiniano, najmniejszego udziału nie mieli; ale niewinność dziecięcia obaliła całą budowę przebiegłéj ich obrony.

»Ile masz lat?« zapytał Czah-Fetyz małą dziéwczynę, córkę najstarszego z trzech obżałowanych.

»»Mam lat dziesięć.««

»Jak się zowiesz?«

»»Zowię się Nadyra Holang-Ho.««

»Powiedz nam wszystko, co tylko ci wiadomo jest o sprawie, która nas zajmuje, i w którą ojciec i wujowie twoi są zawikłani. Ale strzeż się nas okłamać, gdyż Bóg karze najmniejsze kłamstwo, a Muhamed, święty jego prorok, takowe zakazuje.«

»»Ja nigdy kłamać nie zwykłam, i opowiém najszczérszą prawdę.««

»A więc opowiédz.«

»»Ojciec mój i bracia jego, chociaż z szlachetnego rodu pochodzą, nie są majętni, przytém od kilku lat ponieśli wielką stratę, a złodzieje, którzy im konie skradli, wyzuli ich z ostatniego majątku. Z tém wszystkiém, nie byliby oni nigdy ani pomyśleli o zbrodni, gdyby jakaś bogata pani nie namawiała ich do tego.««

»Któż ci o tém powiedział, że to była bogata pani?«

»»Jednego wieczora sen mnie zmorzył, a ja położyłam się w namiocie mojego wuja Nadyra Feza; wtedy przyszła do niego pięknа i spaniale ubrana pani. »Jakże?« zapytała, »czy namyśliłeś się już?« Ja udałam, że śpię mocno. »Mówiłem o tém z moimi braćmi,« odrzekł wuj, »ale żaden z nich na to odważyć się nie myśli.« — »Jeżeli nagroda, którąm wyznaczyła, jest za małą,« odrzekła pani, »więc ją chętnie podwoję.« — »Bracia moi,« rzekł wuj, nie domyślając się, abym podsłuchiwała, »sądzą, że przed-

się wzięcie to z wielkiém dla nas niebezpieczeństwem połączone.« — »Z najmniejszém,« odrzekła z pośpiechem pani, »jeżeli was wyśledzą, wyprzecie się wszystkiego, a ja w tém, że się wam nic nie stanie, i na wolność puszczeni będziecie. Albo może nie macie we mnie zaufania?« — Na to zapytanie odpowiedział mój wuj tak pocichu, żem nie mogła dosłyszeć co mówił, postrzegłam tylko, że się do nóg jéj rzucił, lecz nie mogłam dobrze widzieć, gdyż udawać musiałam, żem jest spiąca. Nakoniec nieznajoma pani odeszła, a wuj Nadyr-Fez rozmawiał potém często potajemnie z moim ojcem i drugim wujem, a we trzy dni po odwidzinach owéj pani, dopuścili się tego uczynku.««

»Jesteś pobożném dziecięciem, że nam prawdę bez osłony i zwłoki opowiadasz; nie przestawaj mówić nam, co wiész i coś widziała, a Bóg i ludzie przebaczą ci twoje uchybienie, gdyż i ty, pomimo twojego młodego wieku, nie jesteś bez winy, gdyż i ty miałaś udział w téj okropnéj zbrodni, któréj ojciec twój i wujowie się dopuścili; nie prawdaż?«

»»Muhamed, święty nasz prorok, napisał w swym koranie: »Bądź posłuszną twojemu ojcu i bój się Boga!« Wujowie dali mi rozpaloną głownię w rękę, a ja podpaliłam stajnie przypiérające do mieszkania Naharyny. Chętniebym była biédne zwiérzęta, które śród płomieni ryczały, od śmierci ochroniła, lecz gdym je ze stajni wypuściła, ojciec mój pozabijał je siekiérą. Wuj, Alo-Azor, połamał i poniszczył wszystko co było w izbach, i pozabijał niewolników.««

»Któż zabił Naharynę?«

»»Nadyr-Fez,« odrzekła dziéwczyna bez zająknienia się.

»Poznałażbyś tę nieznajomą panię, która z twoim wujem w namiocie rozmawiała?«

»»Nie poznałabym jéj ze wszystkiém po twarzy, bo gdym udawała, żem jest spiąca, nie śmiałam dobrze się jéj przypatrzyć, lecz poznałabym ją pewnie po wzroście i po głosie.««

»Jestżeś mocno przekonaną, że się nie omylisz w téj mierze?«

»»I bardzo mocno, bo głos jéj brzmi jeszcze dotychczas w uszach moich.««

Czah-Fez odłożył na chwilę sądy, i kilka słów napisał do Chana. Nie długo czekał na odpowiedź, i skoro ją otrzymał, natychmiast sędziom treść jéj objawił, i zwróciwszy się do nich rzekł: »Chan żąda na wszelki sposób w tym okropnym wypadku dociec prawdy i nie zaniedbać żadnéj okoliczności, któraby do odkrycia jéj posłużyć mogła; z tego powodu nie mając względu na starodawne zwyczaje nasze, rozkazał, aby wszystkie niewiasty mieszkające w jego haremie, zacząwszy od matki Chana aż do pięciu jego małżonek, zasłonięte przeszły po kolei przez nasz namiot, i ażeby każda z nich przechodząc, jednę wrotkę z koranu na głos odmówiła.«

Jakoż po upływie chwil kilku, przybyły wszystkie niewiasty Chana i najwyższych urzędników i dowódzców jego; były one ubrane w bieli, a twarz ich okrywała długa, biała zasłona. Każda z nich przechodząc po przed starych sędziów, odmówiła na głos wrótkę z świętéj księgi koranu.

Już siedmdziesiąt niewiast przeszło było po przed sędziów słuchających w milczeniu, jeszcze tylko jedna została; lecz i ta idąc mocnym krokiem przez namiot, odmawiała następujący tekst z koranu: »A n i o ł  b o ż y  c z u w a  n a d  s p r a w i e d l i w y m  i  u c i e m i ę ż o n y m  i  n i e  d o z w a l a  a b y  z b r o d n i a  p r z e r y w a ł a  s n u  n i e w i n n o ś c i.«

»»To jest ten sam głos, który słyszałam w namiocie mego wuja!«« zawołało dziecię.

Dwóch Narbeków (posługaczów sądu), zdjęło zasłonę z twarzy nieznajoméj niewiasty — byłato — *matka Segeb-Mohelema.* Wszyscy obecni i sędziowie zostali na jéj widok jak piorunem rażeni. Niezwłocznie zawiadomiono o tém odkryciu Chana.

Chan, który natychmiast dosiadł konia, przybył na miejsce, w którém sąd się odbywał, i wszedłszy do namiotu rzekł: »Sędziowie, nie wstrzymujcie miecza sprawiedliwości, niechaj wyrok od wszelkich względów wolnym będzie, nie słuchajcie tylko głosu swego sumienia!«

Sędziowie usłyszawszy to, wyszli z namiotu dla naradzenia się o wymiarze kary na zbrodnia. Tymczasem matka Segeb-Mohelema, przerażona okropném i nazbyt uzasadnioném obwinieniem, które spadło na

jéj głowę, starała się strumieniem łez i jękami, obudzić litość w swoim synu.

Lecz Chan nie wzruszył się jéj trwogą i płaczem; z okiem w ziemię spuszczoném siedział na podwyższeniu, które dla sędziów było przeznaczone; zdawało się, iż całkiem nie słyszał ani próśb, ani płaczu swéj matki. Byłato postać z kamienia, u którego nóg rozpaczająca matka leżała!

Po długich obradach, weszli znowu do namiotu sędziowie; uroczysta cisza panowała w około: gdy oto Czah-Fez położywszy jedne rękę na koranie, a drugą na swojém sercu, uroczystym głosem oświadczył wyrok następujący: »Kto śmierć zadaje, ten śmiercią ukaranym być powinien, a kto do okropnéj zbrodni namawia, zasługuje na krwawą, haniebną chłostę.«

»Mocą tego wyroku osądzamy Mirzę Anundę, aby jéj wielki palec u ręki ucięto.«

»Nadyra-Feza, zwodziciela swych braci, skazujemy, aby żywcem na pal został wbity.«

»Kolang-Ho i Alo-Zora, osądzamy, ażeby ich gardłem skarano.«

»Nadyra Kolang-Ho, tak przez wzgląd na jéj wiek, jakoteż dla tego, że dobrowolnie szczérą prawdę zeznała i cały wypadek opowiedziała, od wszelkiéj kary uwolnioną zostaje.«

»Wyrok ten ma być natychmiast na płaszczyźnie Nopalu, to jest na miejscu, na którém takowy wydano, dnia 6go miesiąca Ahmeda (22go czerwca) wykonanym.«

Skoro wyrok wypadł, dał się słyszeć krzyk przeraźliwy, ostatnie słowa Czah-Feza tłumiący; byłto głos matki Chana, która raz swego syna, raz znowu sędziów z rozpaczą i trwogą o zlitowanie błagała. Ale Segeb-Mohalem głuchy na jéj prośby i jęki, rozkazał, aby do wykonania wyroku jak najprędzéj przystąpiono.

Wkrótce potém surowy orszak sędziów wyruszył uroczystym krokiem ku wzniesionemu na płaszczyźnie wzgórzu, które Tatarzy Habut-de-Kiz nazywają.

Na czele postępowali Narbekowie sądu, niosąc w ręku laski bambusowe, u których szczytów, złote listki koniczyny wisiały. Za nimi śród mocnego zastępu Chana szli winowajcy, a za tymi postępował kat z swoimi pomocnikami. Chan na ognistym rumaku w towarzystwie najznakomitszych naczelników swojego wojska i sędziowie, cały ten orszak zamykali. Niezliczone mnóstwo ludu wysypało się na płaszczyznę i wzgórze Habut-de-Kiz otoczyło.

Gdy kat i pomocnicy jego okropne swe przygotowania skończyli, pisarz sądowy Anor-Czah stósownie do swojego urzędu, wywołał po imieniu każdego z osądzonych, i wymienił mu karę, jaka w téj chwili go czekała:

»Mirza Anunda,« rzekł, »podług wyroku sądu, utraci wielki palec u prawéj ręki.«

Gdy Anor-Czah wymienił nazwisko uwielbianéj dotychczas Chana matki, ozwał się pomiędzy ludem głos zadziwienia i litości: lecz wkrótce ucichło tak, że obecni zaledwo odetchnąć się ważyli; wszystkich oczy zwrócone były na nieszczęśliwą księżnę.

Już kat przybliżył się do ucięcia jéj palca, już pomocniki jego postawili przed nią w tym celu kłodę — aż oto Chan rzuca się z konia, i padając do nóg matce woła: »O matko moja!« Głos jego rozległ się po całéj płaszczyźnie, »o matko moja! ja za ciebie odniosę karę, na którąś przed Bogiem i przed ludźmi zasłużyła. Oby ofiara ta, którą na zgładzenie przestępstwa twego przynoszę, tak ciebie jak i wszystkich obecnych przekonała: że udzielona panującemu władza, w sercu mojém ani uszanowania, ani miłości synowskiéj nie umniejszyła!«

To rzekłszy dobył lewą ręką szabli, i oparłszy prawę o pień postawiony przed matką, jednym zamachem — odciął wielki palec od swojéj ręki.

Okrzyk ludu wzniósł się pod obłoki i sławił sprawiedliwość książęcą i miłość synowską! Kat reszcie winowajców zadawszy śmierć, zadość uczynił prawu.

Mirza rzuciła się do nóg swemu szlachetnemu synowi, a ten zwróciwszy się do lekarza, podał mu do obwiązania swoję prawę rękę.

## SCENA Z ŻYCIA OKULISTY

### SKREŚLONA W LIŚCIE DO PEWNÉJ DAMY

PRZEZ

*WILHELMA TURTELTAUBA*,

DOKTORA MEDYCYNY.

(Z czasowego pisma: *Die Gesundheits-Zeitung*) Nr. 51.

---

Z wszystkich gałęzi wiadomości lékarskich, szanowna pani, żadna nie jest tak poezyjną, tak bosko-uwielbioną, tak wzruszająco-prawdziwą, tak budująco-wzniosłą, jak sztuka okulisty. Twórca w sztukę lékarza oczu włożył część twórczéj swéj mocy: włożył to ciche przeczucie twórczego swego: »stań się!« Okulista jest bogiem na ziemi, bogiem, którego tylko Bóg stworzyć może. Nigdym jeszcze tak głęboko, tak prawdziwie, tak przekonywająco nie uczuł wyższego znaczenia sztuki lékarskiéj, jak po piérwszéj operacyi katarakty, którą w życiu mojém widziałem. Iskra, którą wyższa moc miłościwie w serce nasze rzuciła, owa zapałająca, ożywiająca iskra: Fantazyja, ta między niebem a ziemią sklepiąca się barwista tęcza; zapaliła się nagle w głębi duszy mojéj, a nigdy jeszcze niedoświadczane uczucia odezwały się we mnie, jak gdyby umysłowemu oku mojemu bielmo przekłóte zostało! W téjto na zawsze dla mnie pamiętnéj chwili, doznałem w sobie jasno i wyraźnie bicia zdroju czystych i prawdziwych uczuć, doznałem z odnowioną mocą szczéro-boskiego uczucia, które jako anioł stróż duszę człowieka zamieszkało; w téjto chwili uczułem — poezyję!

Lecz słuchaj pani i czuj ze mną!

Byłoto w piękny majowy poranek, gdy zapukano do drzwi owego instytutu, który odwiedzałem: Profesor zakładu, człowiek głębokich wiadomości i wielo-letniego doświadczenia, kazał drzwi odemknąć, i oto wszedł człowiek, wątłym krokiem, z głową schyloną, oparty na ramieniu miłéj dziewczyny. Zdawało się, iż miał około lat czterdziestu. Uprzejmy profesor przystąpiwszy do niego, zapytał, czego żąda?

»Światła!« wraz odpowiedział człowiek, głęboko westchnąwszy.

Nastąpiło długie i pełne znaczenia milczenie; ciche tylko, lecz głębokie westchnienie wydobyło się ze ściśnionéj piersi głębokiém cierpieniem wybladłéj dziewczyny.

»Panie profesorze!« odezwał się ślepy człowiek głosem duszę przenikającym, »chcę światła! Od dziesięciu lat umarłem dla niego, a on dla mnie! Tylko światło boskie chciałbym widzieć i czworo dzieci moich! Przed dziesięcią laty powiła mi żona moja dziécię ostatnie. Życie, którém niebo mię w najmłodszém dziécięciu mojém obdarzyło, zabrało mi znowu przez śmierć najukochańszéj żony! Ach, panie profesorze od dziewięciu lat żona moja nie żyje, a ja nie widziałem jéj umiérającéj! Słyszałem ostatnie jéj westchnienie; ach! tylko czułem ją umiérającą, lecz nie widziałem jéj umiérającéj! Córka moja, najmłodsze dziécię, posiadać ma wszystkie rysy twarzy matki swojéj. Miałem w dziécięciu oglądać wierną żonę moję, miałem w gwiazdach ócz dziécięcia mojego czytać pismo miłości; miałem na ustach jego znajdować uszczęśliwiający mię niegdyś uśmiéch zmarłéj żony mojéj; ach, panie profesorze! nigdym jeszcze dziecka mojego nie widział! Przyciskam je codziennie do gwałtownie bijącego serca ojcowskiego, lecz nie mogę patrzyć mu w oko! Mam czworo dzieci, okrążają mnie codziennie! ściskam je, lecz dzieci moje są dla mnie obce! Ta szesnastoletnia dziéwczyna jest najstarszą córką moją, ma być przystojną, mówią; mnie zabroniona jest uciecha, iżbym się pieścił widokiem dzieci moich! Dzisiaj ma być dzień pogodny, spaniale i pięknie świécić ma słońce, a błękitne sklepienie nieba rozprószyć miało wszelki obłok. Ach, nie mogę widzieć téj spaniałości! Niebo moje nie jest bezobłoczne; już od dziesięciu lat pokryły je okropne, czarne obłoki, a mnie w ciemną, wieczną noc wtrąciły! Ach panie!« westchnął głęboko, złożywszy ręce jakby do modlitwy, »ach panie!« zawołał płaczliwym, serce przenikającym głosem, »tylko światło boskie chciałbym widzieć i czworo dzieci moich, a wtenczas chętnie umrę!«

I znowu cicha nastąpiła przerwa. W oczach wszystkich obecnych błąkały się gorące łzy wewnętrznego wzruszenia, a pełne łez oczy moje z ciężkiém przeczuciem wlepione były na usta zacnego nauczyciela naszego.

Rozpoznano z największą uwagą chorego i powiedziano: iżby mu można wzrok przywrócić, gdyby się poddał operacyi; na co chętnie zezwolił, a dzień następny został na to przeznaczonym.

»Tylko światło boskie i czworo dzieci moje chciałbym widzieć!« zawołał na operacyjném siedząc krześle, gdy już dzielnie wprawna i doświadczona ręka profesora, jęła ostry instrument; »tylko światło boskie —!« zawołał raz jeszcze, a już wcisnął się nóż w najdelikatniejszą błonę oka jego.

Zaledwie jedna chwila w potok czasu wpłynęła, już bielmo było w ręku operatora, który zamknąwszy choremu oczy, kazał go zanieść lekko i zwolna do łóżka.

Omijam krótki przeciąg czasu léczenia chorego i wstępuję znowu po ośmiu dniach do izby pacyjenta.

Zastaję człowieka odzianego w suknie świąteczne, był to właśnie dzień, w którym miał opuścić instytut. Słodki uśmiéch słońca powitał oko jego, a przejęty radością i rozkosznem uczuciem, obdarzony na nowo światłem oczu, pełen oczekiwania spojrzał w około siebie. Zamówił bowiem dzieci swoje do siebie, które po niego przyjść miały, a którym dotychczas przystęp surowo był zakazanym. Wtém drzwi się otworzyły, i weszła powabna prowadzicielka z rodzeństwem swojém.

Możeszże mi szanowna pani poczytać to za złe, jeżeli następną chwilę, która mnie tak silnie przejęła, zamilczę? Możeszże mi pani miéć to za złe, jeżeli się przyznam, iż za nadto nieudolny jestem, abym tę chwilę należycie mógł skreślić? Na oddanie tak uroczystéj chwili, zbywa mi na kolorach! A naostatek, któż, któż jest w stanie oddania mi wiernie téj chwili? Któż opisać zdoła, jak ojciec ten w nadmiarze szczęścia swojego, dzieciom swoim padał na szyję, jak je całował, do siebie przytulał, i tak się zbytecznie oddawał radości, jak gdyby się w tém uczuciu w nicestwo chciał rozpłynąć! Któż opisać zdoła tę chwilę, w któréj ojciec po raz piérwszy ujrzał najmłodsze dziécię swoje, i poznał w niém rysy ukochanéj swéj żony? któż, któżto opisać zdoła? Trzeba, iżby ktoś jak ja, wszystko to był widział, i aby to mógł pojąć i uczuć.

Szanowny i czcigodny profesor nasz, stał w niejakiém oddaleniu i patrzył z rozkoszném uczuciem na dzieło sztuki swojéj, które tak świetny mu plon przyniosło!

Ojciec z czworgiem dzieci rzucili się do nóg swego wybawcy: »Drugiego Boga!« rzekł z głębokiém uczuciem, a łza wdzięczności potoczyła się z nowo-ożywionego oka; »drugiego Boga czczę w tobie wielki mężu! Tyś mi zwrócił świat z wszelkiémi jego powaby, a dzieciom moim oddałeś ojca! Ostatni oddech najmłodszego dziécięcia mojego, niech będzie w niebo idącém westchnieniem o utrzymanie chwały pełnego, zbawiennego życia twojego!«

Témi słowy, prowadząc dzieci swoje, opuścił miejsce, do którego przed ośmią dniami był przyprowadzonym.

Oto szanowna pani, w krótkich i słabych rysach masz scenę z życia okulisty, któréj naocznym byłem świadkiem. Zdarzenie to, tak mocno udérzyło o strunę uczucia mojego, iż ona długo jeszcze w życiu mojém brzmiéć będzie! O, jakże szczęśliwym jest ten lékarz, którego czynne życie z wielu takich chwil się składa! I ażaliż nie powstaje w nim za każdym razem ocean wrzących uczuć, które prąc się przemocą z piersi jego, chcą się zbawienném dziełem w słowa i czyny zamienić? I ażaliż wylew takich uczuć nie jest poezyją?

Poezyja powinna idealne znaczenie z praktyczném dokonaniem łączyć, a lékarz, który idealnego znaczenia swojego, z powodu niedostatku poetycznéj bierności nie pojmuje, nie rozumié, i z materyjalném łączyć nie umié, lub nie chcę; dla takiego sztuka niczém więcéj nie jest, jak tylko środkiem zadość czynienia jego chciwości, lub celem zmysłowego użycia.

Lékarz szanowna pani moja, powinien być poetą!

Gdym się niedawno przed panią oświadczył, iż sztuka léczenia oczu, znalazła we mnie jednego z najgorliwszych czcicieli, i że to jest najgorętszém mojém życzeniem, aby stać się kiedyś dobrym ócz operatorem; wtedy ujrzałem na twarzy pani zakrój do owego szydnego uśmiéchu, którym zarazem ranisz i léczysz. »Co? Pan będąc poetą« (to nazwisko raczyłaś mi pani nadać, ponieważ ośmieliłem się zrobić w krainę literatury małą wycieczkę). »Pan będąc poetą,« rzekłaś pani, »i — chcesz być okulistą? Poeta nie powinien być lékarzem, a lékarz poetą.«

Chciałem na to odpowiedziéć, lecz nadeszli goście i przeszkodzono nam.

Ośmielam się przeto wręczyć pani teraz listownie odpowiedź moję, która właśnie zdaniu Jéj jest przeciwna; albowiem mniemam, iż to jest właściwie poezyja, która z lékarskim stanem tak ściśle się jednoczy, i że tam, gdzie materyjalne działanie lékarza ustaje, umysłowe léczenie poety zaczyna, i tém zbawienniejsze jest to działanie dla chorujących na serce i umysł, kiedy wpływ mający poeta jest razem lékarzem, a wezwany do rady lékarz, zarazem jest zbawczym poetą. Jakież nieskończone morze czysto poezyjnych uczuć opanować musi lékarza, który dążenie swego jestestwa i szczytny cel posłannictwa swojego ma często przed oczyma!

*Tłumaczył E. Zwergel,*
z Rzeszowa.

---

**ZE LWOWA.**

Znakomity autor i krytyk pan Michał Grabowski, umieścił w *Tygodniku Petersburskim* z dnia 10go lutego przegląd krytyczny wydanéj o Piotra Pillera *Galicyi w obrazach*. Wspomniawszy pochwalnie o tém pięknem przedsięwzięciu tak pod względem sztuki jak i opisów, i podobnie nam zachęcając gorliwego wydawcę, by na dotychczasowych 12 poszytach nie poprzestawał, tak wyraża się o panu Gorczyńskim,

który kilku widokami własnéj roboty ten zbiór przyozdobił: »Co do wdzięku, perspektywy, dobrze wybranego punktu zkąd wzięty jest widok, piérwszeństwo niewątpliwie należy się pracom pana Gorczyńskiego... Umié on dać fizyonomiją swoim widokom, a to przez wybór przedmiotu głównego i malownego w ogólném ugrupowaniu części składających krajobraz.« *S. J.*

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 8. i obejmuje: 1) Ogólne wyobrażenie o życiu jestestw organicznych i wpływie na nie ciepła, światła, wody i powietrza atmosferycznego. (Dokończenie.) 2) Korzyści piły nad siekiérą w spuszczaniu czyli wyrąbywaniu lasów. 3) Jak w Niemczech, Czechach i Anglii piwo warzą. 4) O drożdzach. 5) Pokrycie patentowane pana Fromant na płótno, drzewo, mur i t. d., na które można przenosić malowidła, pisma, i służy jako środek ochraniający od wilgoci. 6) O trwałości kół powozowych. 7) Wiadomości czasowe.

Z Warszawy. Pan W. Maciejowski ukończywszy swoje dzieło: *O zwyczajach i obyczajach Polski*, pracuje obecnie nad ostateczném wykończeniem *Obrazu literatury polskiéj w XV. i XVI. wieku.* Będzie to część jedna wielkiego dzieła: *O literaturze polskiéj*, które uczony mąż ten napisać postanowił. — Zapowiedziane są: *Śpiewy, zwyczaje i obyczaje ludu białoruskiego.*

W Krakowie u Czecha wyjdą: *Śpiewy ludu krakowskiego.*

Już się drukuje trzeci tom *Gabinetu Medalów polskich*, nader ozdobnego wydania E. hrabi Raczyńskiego.

Karol z Kalinówki Sieńkiewicz, (brat rodzony Leona, który spolszczył Rhüsa: *Rys dziejów wieków średnich*) napisał nader ważne dzieło: *Skarbiec historyi polskiéj.* Obadwaj bracia, z których piérwszy znany jako poeta i tłumacz Walter Skotta, zaczęli teraz pracować nad dziejami.

Dzieło Szerleckiego, doktora medycyny, pod tytułem: *Dictionaire abrégé de Térapeutique ou exposé des moyens curatifs, etc.* przetłumaczone zostało w Berlinie na język niemiecki — i wydane z przemową profesora Barez D. M.

Poznań mający już towarzystwo malarstwa i rzeźby, zakłada teraz towarzystwo muzyczne. Szkoda, że nasze lwowskie muzyczne towarzystwo jeszcze się tak nie rozpowszechniło, jak na to użytecznością swoją zasługuje.

Jednostrunowy Paganini, jak wiadomo bardzo majętny, jeszcze tylko na jednéj nitce przy życiu wisi, a niedawno zmarły Paganini słomiany, Guzików, zostawił po swojéj śmierci 20,000 dukatów, które za swoję słomę uzbiérał.

Dla zégarmistrzów. Pewien nowy wynalazek w zégarmistrzowstwie zwrócił teraz na siebie wszystkich Paryżanów wielką uwagę. Niejaki pan Neuberger wynalazł sposób dawania zégarom z wahadłami takiego werku, iż takowy przez całe ćwierć roku tylko raz się nakręca, i przez cały przeciąg tego czasu jak najregularniéj idzie.

Wiadomość statystyczna. Ludność na całéj kuli ziemskiéj w roku 1839 wynosiła tysiąc dwieście milijonów. Z tych na Azyję przypada 690,000,000, na Europę 250,000,000, na Afrykę 140,000,000, na Amerykę 60,000,000, na Oceaniję 60.000,000 osób. — Podania o ludności Rossyi chwieją się pomiędzy 48 — 62 milijonami; Wielka Brytanija ma 25 milijonów, a z swemi posiadłościami w Europie, w Indyjach Zachodnich i Ameryce Południowéj, Australii, Afryce i Azyi z posiłkowémi i pośredniczémi państwami w Indyjach, w ogóle 150,000,000; Francyja 33,541,000, a z posiadłościami swémi w Ameryce, Afryce i Azyi 34,097,000. Chiny na przestrzeni 1,223,000 angielskich mil kwadratowych liczą przynajmniej cztery sta milijonów ludności, a przeto są największém państwem na naszéj kuli ziemskiéj. (Obacz *Grundriss über Länder- und Völkerkunde von Prof. Dr. Neumann.*)

Drzewa wodę wydające. Na wyspie Ferro jest tylko trzy źródeł, które wytryskują w jednéj okolicy nad niedostępnym brzegiem. Dla wynagrodzenia tego niedostatku, obdarzyła natura tę wyspę drzewami, które jéj wody dostarczają. Zdrojowe te drzewa, są średniéj wysokości i mają proste, długie, obwisłe, zieleniejące się liście. Botanicy twierdzą, że to jest pewien gatunek drzew zwanych *laurus indica.* Nad wierzchołkiem ich widać zwykle mgławą łunę, która liść ich do tego stopnia wodą napawa, iż takowy prawie nieprzerwanie krople sączy. Woda ta jest czysta i smaczna tak dla ludzi jak i dla bydła.

Australija. »Katolicka Gazeta kościelna« zawiéra z Vaithohn na wyspach Markezańskich, list katolickiego missyjonarza Caret, pod dniem 6go marca r. z. datowany, w którym opisane jest uroczyste doręczenie pięknych oryjentalnych szat, jakie Ojciec święty dla króla i królowéj na wyspach Gambii, nawróconych do wiary chrześcijańskiéj, w darze przysłał. Ludwik Filip, król Francuzów, dodał dla króla Jerzego kosztowną szpadę, którę tenże do boku przypasał w chwili, gdy na wyspie Mauzarewa w środku wielkiego kościoła, na który już założono fundamenta, i gdzie darowany przez Ojca św. posąg Najświętszéj Maryi panny z dzieciątkiem Jezus wznoszono, publicznie pośród ludu wystąpił. Mieszkańcy cztérech tych wysp zaczynają już prząść i tkać bawełnę. Biskup, apostolski wikaryjusz wschodnich Oceanów, popłynął już z wysp Gambijskich do Markezańskich z sześcią duchownymi missyjonarzami i dwoma neofitami, w celu rozniecenia tam pochodni chrześcijańskiej wiary i udzielania wszelkich z nia połączonych dobrodziejstw cywilizacyi pomiędzy trzydziestu tysiącami dzikich jéj mieszkańców. Trzech kapłanów pozostało na wyspach Gambijskich, których mieszkańcy jeszcze przed kilką laty bałwochwalcy, teraz już wszyscy katolikami zostali.

Wielkie organy w Frejburgu w Szwajcaryi, sławne są na całą Europę i Szwajcaryja słusznie niémi się chlubi. Rząd francuzki mistrzowi tego sławnego instrumentu dawał niedawno 1,000,000 franków na zbudowanie podobnych organów dla kościoła Świętej Maryi Magdaleny w Paryżu; lecz organista w Frejburgu wymówił się podeszłym wiekiem i nie przyjął tego żądania. Poprzestaje on na swojéj sławie i na swoich dochodach; będąc bowiem oraz organistą na swoim własnym instrumencie, w nadzwyczajnych godzinach, bez wszelkiego względu na ilość słuchaczy, każdą razą każe sobie za swoje granie 12 franków jako *honoraryjum* płacić. Zresztą, kto w wieczornéj chwili przysłuchał się pięknym i poważnym tonom tego mistrzowskiego dzieła, przyznać musi, iż słyszał najwznioślejszy koncert na świecie. Organy frejburskie wydają w dziwnym sposobie dźwięk i tony do głosów ludzkich podobne; słychać tam wyraźnie, jak gdyby mężczyźni, kobiety i dzieci, to pojedyńczo, to znowu razem w chórze śpiewali, a każde słowo hymnu jak najczyściéj instrument ten wymawia.

Nowe muzeum w Paryżu. W stolicy Francuzów jest muzeum, nie wielu osobom znane, tajna galeryja, która ściśle jak skarb jaki jest zamknięta. Nie wolno jéj odwidzać, tylko gwardzistom narodowym;

dla innych, zwyczajnych osób jest nieprzystępna. Lecz kto się raz tam dostanie, ten już w niej pewny, naprzód oznaczony czas pozostać musi. Zawieraż muzeum to obrazy lub posągi? Wszedłszy tam, nic nie ujrzysz, jak tylko goły tapczan, stół i stołek. — I toż ma być muzeum? Nie inaczéj, bo, że się tak wyrażę, muzeum to jest więzieniem, w którém narodowi gwardziści paryzcy, swoje wykroczenia przeciw karności odsiadywać muszą, a mianowicie w izdebce pod Nrem. 14, która odznaczający się artyści z pomiędzy gwardyi narodowéj w czasie mimowolnego w tém miejscu ich pobytu, najspanialszémi utworami swego talentu przyozdobili. Pokoik ten zowią powiększéj części izdebką Deverii, ponieważ Achille Deveria był pierwszym, który podczas swojego uwięzienia, natchnienie swéj fantazyi na ścianę przeniósł. Od tego czasu wszyscy artyści, którzy 24 godzin spędzili w tém miejscu, zostawili po sobie pamiątki. Ujrzysz tam na drzwiach spaniałą głowę Chrystusa, przez pana Mai pastelami odmalowaną; nade drzwiami odrysował pan Chatillon troje dzieci, amorki, aniołowie czyli jenijusze, trzymające wstęgę, na któréj jest napis: pokój Achila Deveryi. Sam Deveria odmalował na jednéj ścianie przecudnie piękną grupę prawie w wielkości naturalnéj, wyrażającą miłość chrześcijańską w postaci młodéj niewiasty, będącéj przy nadziei. Ta niewiasta niosąc dziecię, które jéj po nad ramię zagląda, uśmiecha się do niego, a drugiemu pierś podaje. Trzecie dziecię pieści się jéj ręką, a dwoje kryje się w fałdy szaty, która tak jest przestronną, jak szata chrześcijańskiéj miłości przestronną być powinna. — Pan Bernard, który kilka sal pana Rothszyida obrazami ozdobił, odmalował w pobliżu tegoż obrazu królowę, z męczeńską palmą w ręku. — U stóp królowéj ujrzysz piękną przez Ernesta Ciceri odrysowaną szkicę, modnisia z czasów Ludwika XIII., który pięknéj dziewczynie coś do ucha szepce. — Potém idzie polityczna alegoryja przez pana Lafoye; Amazonka z rozpuszczonémi włosy, trzymająca w ręku chorągiew z kogutem Gallów, na rumaku w czwał jadąca. Temu rumakowi zabiéga drogę żołnierz w mundurze jeneralskim z dobytą szpadą; obok niego unosi się inna postać niewieścia z rozpostartémi skrzydłami, zapewne bogini zwycięztwa. Leconte odmalował krajobraz; rzeźbiarz Pascal odrysował trzy piękne bociany, w różnych śmiesznych postawach; Armand Boulanger odwizerunkował siebie z zasępioną twarzą i z fajką w ustach. — Następnie ujrzysz tam Odaliskę w niderlandzkim stylu, a obok niéj, powabną nieznajoméj ręki postać, wyrażającą Anioła pocieszyciela uwięzionych, który zaiste jeszcze piękniejszym wydałby się na ścianie prawdziwego więzienia, gdzie wielu nieszczęśliwych długie lata w nieznośnéj tęsknocie i cierpieniach spędza! — Wreszcie to miejsce aresztu jest tak sławne z powodu tych dzieł artystowskich, iż niejeden przyjaciel kunsztu z pomiędzy gwardzistów narodowych używał umyślnie wszelkich sposobów, aby go tamże zamknięto, i pieniądzmi przekupywał dozorcę, aby go w izdebce pod Nrem 14 umieścił; albowiem ta izdebka jest dla samych tylko artystów przeznaczona, i to tylko dla tych, którzy ten wzgląd pieniądzmi okupują. Pewien Anglik, gdy się o tém dowiedział, chciał jednę ścianę kupić, aby ją całkiem wyjąć, a drugą w tomiast postawić.

Papiér z liści kukurudzianych. Niejaki pan Bouchet w Paryżu, założył obecnie papiérnię, w któréj tylko liści z kukurudzy używać będzie; otrzymał on przywiléj swobody na lat piętnaście, zawarł kontrakt na trzy milijony funtów liści z téj rośliny, i spodziewa się, iż codziennie trzy tysiące funtów papiéru z niéj wyrobi. Właściciel *Journalu des Debats* wszedł z nim w ugodę, na mocy któréj pan Bouchet dla nadmienionego dziennika przez lat pięć potrzebną ilość papiéru dostawiać się podjął.

Familija Goethego w Wiédniu. Od dnia 7go lutego przybyła z Wajmaru i bawi ciągle w Wiédniu Otylija Goethe, wdowa po sasko-wajmarskim tajnym radcy, razem z swoją córką Almą i panem Walterem Goethe.

Klasztor na górze Świętego Bernarda. Rząd kantonu Ticino odbudował w roku 1837 na górze Świętego Bernarda, klasztor sławny gościnnością dla podróżnych, i od tego czasu ciche schronienie to coraz zbawienniejsze wydaje skutki. W roku 1838 dawano tam 805, a w roku przeszłym 320 osobom staranny przytułek. Między témi osobami było 10 mających odmrożone ręce i nogi, i trzymano je w tym klasztorze, aż pokąd zupełnie uleczonémi nie zostały. Pewnego mieszkańca z Walii, którego w roku 1839 psy tegoż instytutu w letargicznym stanie na śniegu leżącego wyszukały, przyniesiono do klasztoru, i dzięki dobroczynnéj pieczołowitości mieszkańców jego, znowu go do życia przywrócono.

Chłopiec o jednéj nodze. W Toskańskiéj włości Roccabella, jest dwunastoletni chłopiec, którego obadwa uda od urodzenia mocno zrośnięte, tylko jednę nogę stanowią. Chłopiec ten skacząc, pomyka się za pomocą laski tak spieszno, jak każdy inny o dwóch nogach. Rodzicom jego dawano już znaczną summę, by tego jednonożnika jako rzadkość publicznie za zapłatę pokazywać pozwolili, ale na to przystać nie chcieli.

Zemsta artysty. Gdy Michał Anioł w kaplicy Syxtyńskiéj malował obraz *al-fresco,* przedstawiający Sąd ostateczny, odwidził go jednego dnia z licznym swoim orszakiem Ojciec święty, na którego zlecenie artysta ten nieśmiertelne to dzieło rozpoczął. Wielu z obecnych nie mogło pojąć szczytnego utworu jenijuszu, a między tymi był także mistrz obrzędów, który gdy go Papież o zdanie zapytał, rzekł na głos, iż obraz ten mógłby być stosownym do ozdoby szynkowni, ale nie do domu bożego. Artyści nie lubią krytyki, a tém mniéj krytykujących, i nie wahają się wywrzéć swéj zemsty. Jakoż i Michał Anioł nie zaniedbał tego, zaraz bowiem umieścił mistrza obrzędów z wężem owiniętym w około głowy i z oślemi uszyma, pomiędzy potępieńcami w piekle. A że wizerunek ten do mistrza obrzędów miał wielkie podobieństwo, dla tego wnet rozeszła się pogłoska o złośliwéj zemście artysty. Mistrz obrzędów zaklinał Michała Anioła, aby go z tak pięknego towarzystwa wybawić raczył, ale prośby jego były nadaremne; nakoniec udał się w téj mierze do samego Papiéża, lecz ten umiał bardzo gładko z téj sprawy się wywinąć: »Ja tylko w niebie i na ziemi mam władzę,« rzekł; »ale Wasze jesteś w piekle, a z tamtąd już nié ma powrotu.«

*Sprostowanie:*

W Nrze 8mym Rozm. w pierwszéj kolumnie w drugiéj przedziałce, w wiérszu 23 z góry, dodaj do słowa meczetu, słowo: wejdziesz. — Na 4téj kolumnie w przedziałce pierwszéj, w wiérszu 30tym z góry, zamiast: takim właściwéj, czytaj: tak im właściwéj. — Na 8méj kolumnie, w przed. pierw. wierszu 3. z dołu, zamiast: 3 stóp, czytaj po 3 stóp.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.